

# **Cztery miesiące, które wstrząsnęły światkiem...**

**Uwagi na temat "Kampanii M-1" i polskiego środowiska  
anarchistycznego**

Mateusz Kwaterko

Kwiecień 2001

”A królowie ziemscy, wielmoże i wodzowie, bogacze i możni, i każdy niewolnik i wolny ukryli się do jaskiń i górskich skał. I mówią do gór i do skał: ”Padnijcie na nas i zakryjcie przed obliczem Zasiadającego na tronie i przed gniewem Baranka, bo nadszedł Wielki Dzień Jego gniewu, a któż się może ostać””

Jan Ewangelista, Apokalipsa

”Im mniejsza jest ofiara, której żądamy od przeciwnika, tym mniejszego odeń możemy się spodziewać oporu, a co za tym idzie, tym słabsze mogą być nasze wysiłki. Dalej, im mniejszy jest nasz cel polityczny, tym mniejszą wartość będziemy do niego przywiązywać i tym łatwiej będzie nam się go wyrzec; zatem tym mniejsze będą z tego powodu nasze wysiłki.”

Clausewitz, O wojnie.

Niniejsza analiza będzie monotonna jak wycinek rzeczywistości, który opisuje. Czytelnik nie znajdzie w niej ani porządku, ani harmonii: temat na to nie zasługiwał. Dowie się z niej jacy są współcześni anarchiści, jakie są ich dokonania i zamierzenia, pozna ich myśli oraz pisma. Czytelników przywykłych do współczesnych pseudopolemik zaskoczy prawdopodobnie to, że autor nie stronił od argumentów ad hominem. Nie zamierzam się z tego usprawiedliwiać - bezkarność umarła. Innych czytelników, przeciwnie, oburzy to, iż autor pominął wielu znakomitych działaczy anarchistycznych, których poglądy zasługiwałyby na obszernie omówienie. Niestety, są czasy, kiedy należy oszczędnie dawkować obelgi, zaśługuje na nie bowiem zbyt wiele osób...

Z jakich źródeł korzystałem? Któż dałby im wiarę? W dzisiejszej epoce zniekształcone bajdy i nieuprawnione domysły są rozpowszechniane i podawane jako pewniki przez tych, którzy niegdyś chełpili się zmysłem krytycznym i zachowywali daleko posuniętą nieufność wobec panującego systemu kłamstw. Wiarygodność niniejszych rozważań, nie podlega jednak dyskusji, ”bo choć je dyktuje złośliwość, to jednak pisze je prawda”. Jestem pewien, że czytelnicy, którzy obcowali z polskimi anarchistami często i w różnych okolicznościach, przytakną mi i potwierdzą, że wszystko, co zamierzam tutaj powiedzieć, jest prawdziwe; inni natomiast dopóty będą uważać ten sąd za przesadny, dopóki sami dzięki własnemu doświadczeniu, o ile tylko zdarzy się im sposobność zetknąć się bliżej z anarchistyczną społecznością, nie ujrzą tej prawdy dostatecznie wyraźnie.

W poniższym opisie korzystać będę przede wszystkim z deklaracji anarchistycznych myślicieli, które napływały każdego dnia, szerokim strumieniem kilobajtów, na internetową listę dyskusyjną o budzącej szacunek nazwie: ”akcja”. Przytaczając je zachowywałem oryginalną składnię i ortografię, przywracając jedynie polskie znaki diakrytyczne; licząc bowiem na to, że wśród czytelników znajdą się również osoby niezaznajomione z nowoczesnymi sposobami wyrażania mniej lub bardziej pokrętnych myśli, tym idealnym czytelnikom pragnąłem oszczędzić niepotrzebnej dezorientacji. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jeśli chodzi o środowisko anarchistyczne, to pojawienie się internetu łacniej można nazwać karą Niebios niżli ich łaską.

Trudno oszacować kiedy zrodził się polski ruch anarchistyczny, choć dociekliwi historycy kryją prawdopodobnie w zakamarkach szuflad niejednego klucz do rozwiązania tej interesującej zagadki. Jeszcze trudniej ustalić, kiedy nastąpił zmierzch tego ruchu, nie ulega jednak wątpliwości, że na naszych oczach rozgrywa się, by użyć modnego eufemizmu, jego post-historia. Samo istnienie ruchu anarchistycznego stało się wątpliwe, czego nie można powiedzieć o anarchistach, którzy, jak się okazało, trwają nadal, nie przejmując się utratą własnego ruchu: niewzruszeni. Niektórzy z nich łączą się nawet w grupy, ośrodki i federacje parodiując życie tam, gdzie zapanowała śmierć. Zamierzam przedstawić ów Totentanz i oddać głos hasającym kościotrupom, które, posuwając się w rozbawionym pierwszomajowym korowodzie, zachowywały nieodmiennie doskonałe samopoczucie.

Warto się przyjrzeć projektowi o wdzięcznym kryptonimie "M-1", był to bowiem pierwszy od niepamiętnych czasów projekt realizowany przez środowisko anarchistyczne na podstawie uczonej kalkulacji. Anarchiści uznali, że jeśli tylko zaborą się do przygotowania jakiejś "akcji" ze znacznym wyprzedzeniem i jeśli włożą w te przygotowania dostatecznie dużo wysiłku, rezultat powinien zadziwić świat. Cztery miesiące, które poniżej opiszę, nie wstrząsnęły jednak światem – co nietrudno było przewidzieć – wstrząsnęły jednak pewnym światkiem; nadszedł czas, by przeprowadzić jego autopsję.

Tak więc już w styczniu anarchiści zaczęli się gromadzić w "grupach roboczych", wytyczać palcem po mapie trasę przemarszu zbuntowanych mas, redagować i powielać ulotki, gromadzić fundusze, opracowywać hasła oraz insygnia "wielkiej manifestacji oszukanych przez władzę i kapitalistów" zdolnej "rozpalić wielki bunt na ulicach i w naszych głowach". Przyjrzymy się rozwojowi tej gigantomanii; zobaczymy, kto oszukiwał i kto był oszukiwany.

Jeśli chodzi o "bunt w głowach", to niezwłocznie po ogłoszeniu przez pomysłodawców wywrotowego zamysłu, w środowisku anarchistycznym ujawniła się tendencja, która ma szansę przejść do historii anarchistycznego bezruchu pod nazwą "Leszczyzmu" (uformowaną od nazwiska jej najznamienitszego, a zarazem najbardziej groteskowego przedstawiciela). W istocie już trzynastego stycznia łódzki anarchista, Rafał Leszczyński, oprócz cokolwiek kontradyktoryjnej sugestii, by trzymać się z dala od żydożerców i spróbować skaptować do organizacji "M-1" związek zawodowy "Sierpień 80", zaapelował o zalegalizowanie manifestacji i "unikanie konfrontacji z policją". Apel motywował tym, iż choćby - oszukani przez władzę i kapitał - manifestanci "nie wiem co robili", to i tak nie zdołają skutecznie walczyć ze strażnikami społecznego porządku. Przybierając ton wytrawnego stratega, zadawał retoryczne pytanie: "po co niepotrzebnie narażać naszych ludzi"; trudno mu odmówić racji: środowisko anarchistyczne czeka jeszcze wiele burzliwych starć z siłami starego świata - jak choćby "M-2" w 2002 roku - powinno więc, uwzględniając to zawczasu, oszczędnie dawkować siły i racjonalnie gospodarować aktywem.

Ponieważ mowa o strategii, warto pozostawić na chwilę z boku prężny rozwój leszczyzmu, żeby wspomnieć pewien tajemniczy okólnik, plan kampanii, "stenogram rozmów"<sup>1</sup> prowadzonych przez organizatorów "M-1". Co wynikało z tych owocnych debat? "Głównym motywem jest kontakt z grupami protestującymi (od początku tego roku, lub też od końca poprzedniego)". Motyw niewątpliwie chwalebny, temporalne obostrzenia (które nieprzypadkowo przywodzą na myśl regulamin jakiegoś radykalnego konkursu) kuriozalne, ale - może właśnie dlatego - nieszczerze zaskakujące. Stratedzy na wstępie wykluczają przymierza z partiami politycznymi, zaznaczają jednak, że są otwarci na pertraktacje z "grupami związkowymi", pod warunkiem, iż zaakceptują one "wstępną deklarację" (która miała oczekiwać, aż nastanie jej czas, w intermundium anarchistycznej potencjalności). Przede wszystkim marzy im się jednak sojusz z "małymi grupami" zbrojnymi w "konkretne postulaty ważne dla nich. Np. zbankrutowane zakłady przejęte przez załogi". Stratedzy zdają się dostrzegać pewne trudności w zawieraniu takich sojuszy, z których największą jest nieznanostwo potencjalnych sojuszników. Wiadomo jednak, że anarchiści, niczym Marksowska "ludzkość", stawiają przed sobą tylko takie zadania, jakie mogą rozwiązać: "Należy czytać dużo gazet, aby zdobyć informacje o możliwie wielu lokalnych konfliktach i nawiązać kontakt z ich uczestnikami. Wyznaczyć dwie osoby do czytania gazet". Organizatorzy nie zamierzali zresztą poprzestawać na walnym przyczynianiu się do wzrostu poziomu czytelnictwa oficjalnej prasy, przewidywali także rozwój własnego, radykalnego piśmiennictwa: "Publikacja broszury, choćby małej, do kolportażu znacznie wcześniej. Z logiem Komitetu M-1. Musi w niej być coś o globalizacji, sytuacji grup pracowniczych, sytuacji młodzieży (perspektywy zatrudnienia), o systemie edukacyjnym. Dogadać się w sprawie pewnej wizji alternatywy do obecnego systemu". Ponieważ żadna broszura nie ujrzała światła dziennego, zasadne wydaje się przypuszczenie, że uznano ten projekt za nieprzemyślany, pochopny, skrajnie woluntarystyczny lub wręcz szkodliwy. "Bo w wielkiej mądrości, wiele utrapienia, a kto przysparza wiedzy - przysparza i cierpienie"... Jeśli pominąć postulaty zredagowane trudnym do złamania szyfrem - "Pojeździć po środowiskach, żeby wynajęli autokary" - rozmowy członków znamienitego komitetu obracały się, jak można sądzić, wokół wspomnianych dylematów legalizmu; stratedzy pierwszomajowej rewolty potraktowali zresztą tę kwestię ze znaczącą wstrzemięźliwością: "Ewentualnie legalizujemy wiec i część przemarszu (???)"

Kiedy kilka osób wystąpiło z nieśmiałym protestem przeciw równie rozsądnej propozycji (dodajmy, iż rychło zaakceptowanej, z czysto formalnymi zastrzeżeniami, przez mgławicowy komitet organizacyjny "M-1", który ją - jak widzieliśmy - wysunął) patron i główny przedstawiciel "leszczyzmu" zarzucił im przywiązanie do archaicznej idei rewolucji. Powołując się na niedawne wybory prezydenckie i uogólniając, z naukową maestrią, swoje spostrzeżenia, jął dowodzić, że społeczeństwo popiera tylko opcje umiarkowane i centrowe, a ludzie pragną jedynie "polepszenia swojego życia w miarę łagodny sposób" odrzucają

---

<sup>1</sup> Reakcyjni prześmiewcy uznaliby zapewne wyrażenie "scenopis" za bardziej adekwatne. To, że od początku do końca mieliśmy do czynienia ze spektaklem, w najmniejszym stopniu nie uzasadnia jednak równie niewybrednych ataków.

zaś wszelki ekstremizm. Opierając się na tym przenikliwym odkryciu, zażądał od anarchistów porzucenia XIX-wiecznych miazmatów, dostosowania się do społecznego zapotrzebowania na umiar, pracę i rozsądek, jednym słowem wypromowania ideologicznego towaru zdolnego zachwycić szerokie rzesze konsumentów; w końcu zaś swych oponentów zaczął wyzywać od obiboków, "napierdalatorów", pseudo-anarchistów i pijaków. Dodajmy jednak, że przygany i pochwały rozdzielał sprawiedliwie: tym, którzy pisali, iż "zgadzają się z Rafałem", serdecznie gratulował postawy.

Zatrzymajmy się przy zarzutach, które Rafał Leszczyński kierował pod adresem jednego ze swych oponentów. Zaslugują na to.

"Wypowiedź Pieczary dziwi mnie bardzo, ponieważ w Łodzi na przykład będziemy niedługo legalizować przemarsz manifestacji antyfaszystowskiej. Czyżby Łukasz Pieczara zapomniał o tym? A może nie uważał, gdy dyskutowaliśmy na ten temat na spotkaniu, co by mnie nie zdziwiło, bowiem od pewnego czasu Pieczara albo pali fajki na korytarzu i nie jest obecny na zebraniu FA ŁÓDŹ, albo czyta sobie ziny i nie wie co się dzieje wokół niego podczas spotkania. Jednym słowem Pieczara opierdala się ostatnio dość mocno, a jedynym przejawem jego aktywności było przyniesienie 28 stycznia flaszki jabola na foot not bombs<sup>2</sup> i obnoszenie się z tym przed wszystkimi, chociaż wcześniej Pieczara krytykował punkowców, którzy przyszli na akcje FA z jabolami".

Komizm tej pryncypialnej, biurokratyczno-moralizatorskiej krytyki obywa się bez komentarzy, warto jednak zwrócić uwagę, że jeśli te zarzuty miały, w zamierzeniu oskarżyciela, dyskredytować Pieczarę w oczach anarchistów z "akcji", to - niezależnie od swojej zasadności - musiały się opierać na założeniach przyjmowanych implicity przez uczestników tej listy dyskusyjnej, na zasadach powszechnie akceptowanych w tym gronie, a więc zakładać istnienie pewnej szczególnej moralności panującej w środowisku anarchistycznym. Ponieważ nikt nie poinformował Leszczyńskiego, że anarchiście w sutannie nie jest do twarzy, można uznać, że polscy anarchiści przyjmują etykę niedaleko odbiegającą od tej, która - w innych czasach - charakteryzowała rosyjskich narodników (wspomnijmy

---

<sup>2</sup> Niezorientowanym czytelnikom spieszę wyjaśnić, że impreza "food not bombs" to ostatni krzyk mody w środowisku anarchistycznym. Polega na rozdawaniu potrzebującym jedzenia, raz na kilka miesięcy, w celu poprawy społecznego wizerunku Federacji Anarchistycznej, przy równoczesnym ratowaniu ofiar neoliberalizmu. Jest to rodzaj działalności charytatywnej, radykalnie różniącej się od innych działalności charytatywnych tym, że dobroczynność jest anarchistyczna, a rozdawana żywność - bezmięsna (i odwrotnie). Jak widać działalność ta nie polega, jak sugeruje Leszczyński, na obalaniu starego świata poprzez organizację meczów piłkarskich. Nikogo jednak nie zaskoczy wiadomość, że i takie inicjatywy pojawiały się już w tym, niesłychanie pomysłowym, środowisku. Użyte przez Leszczyńskiego określenie "ziny" również zasługuje na objaśnienie. "Ziny" są to gazetki anarchistyczne (choć nieobce także innym sub- i kontrkulturom). Dawniej odznaczały się małym zużyciem papieru a niepomiernym wzrokiem; obecnie, szata edytorska wielu zinów znacznie się poprawiła, toteż sarkastyczna uwaga wyrażona przez pewnego Hiszpana zachowuje trafność jedynie w odniesieniu do treści zinów: "sami już ich nie mogą czytać, ani nikt inni nie śmie ich tknąć w obawie, że zabrudzi sobie ręce o wymięte stronicie, których nawet myszy nie chciały już zjadać, aby nie przyprawić się o bezpłodność".

światlaną postać Swierdłowa). Jest to etyka oparta na ascezie, towarzyszy jej skłonność do umartwiania się i samodoskonalenie ufundowane na wyrzeczeniach. Innymi słowy, jest to moralność chrześcijańska w jej idealnej postaci (dodać jednak należy, że pobrzmiewają w niej również echa skautingu, epopei radzieckich pionierów i burzliwych doświadczeń hunwejbiniów); dążenie do doskonałości poprzez akceptację i interioryzację coraz bardziej surowych zakazów. Takie nastawienie można zresztą obserwować w środowisku anarchistycznym od dłuższego czasu. Z braku możliwości rzeczywistego radykalnego działania, wyznacznikiem anarchistycznej postawy stało się postępowanie zgodne z kodeksem opartym na mniej lub bardziej trudnych do przestrzegania zakazach: zakazie udziału w wyborach, zakazie spożywania mięsa, zakazie palenia papierosów na spotkaniach (obecnie ograniczonym do spotkań "organizacyjnych", niebawem rozciągniętym również na spotkania towarzyskie, jeśli tylko takowe przetrwają przygodę "M-1"), zakazie pożądanego spoglądania na towarzyski, zakazie publicznego picia alkoholu, zakazie noszenia skórzanego ubrań... Anarchistą doskonałym jest ten, kto stosuje się do największej liczby takich, z każdym dniem liczniejszych i najczęściej mgliście uzasadnianych zakazów. Postronny obserwator mógłby zapewne uznać na tej podstawie, że anarchiści po prostu nie lubią wolności. Nic bardziej mylnego. Anarchiści miłują wolność ponad życie i może właśnie w tym tkwi sedno problemu. Zresztą wymarzony przez nich świat jest, jak sami przyznają, bardzo odległy, nie ma więc powodów do nadmiernego niepokoju.

Stanowisko głównego teoretyka leszczyzmu usiłował wyważyć inny zasłużony działacz, podpisujący się Żaczek, podkreślając, iż w czasie manifestacji nie powinno dochodzić do aktów wandalizmu (co tylko "potwierdzałoby głupie stereotypy o anarchistach"), za to z policją można ewentualnie wejść w szranki, pod warunkiem jednak, "że dla wszystkich będzie jasne, że zostaliśmy sprowokowani". Jak widać, nawet dla umiarkowanych zwolenników anarcho-leszczyzmu, w przeciwieństwie do przedstawicieli bardziej tradycyjnych nurtów anarchizmu, sam fakt istnienia policji, nie jest jedną wielką i oburzającą prowokacją... Trudno się jednak dziwić: anarchiści tolerują się wzajemnie od tak dawna, że niczego nie potrafią już zniechęcić.

Pod koniec stycznia pojawiły się pierwsze oznaki znużenia. Niektórzy aktywiści zaproponowali, by zmniejszyć nieco regularność spotkań, dotychczasowa frekwencja wywoływała bowiem radykalną zadyszkę, a w dalszej perspektywie prowadziłyby zapewne do rozpadu całego środowiska anarchistycznego. Anarchiści zmuszeni spotykać swoich współwyznawców kilka razy w tygodniu, po krótkim czasie wybrałyby emigrację - zewnętrzną lub wewnętrzną. Najbardziej zdesperowani popełniliby samobójstwo, najzdolniejsi zasililiby kadry partii politycznych i szeregi przemysłu reklamowego lub też - jeśli tylko zachowaliby odrobinę godności - pograżyliby się w pijaństwie... Któż mógłby ich za to ganić? "Bo z wielu zajęć przychodzą sny, a mowa głupia z wielości słów".

Rafał Leszczyński, tymczasem, z mozołem wznosił fundamenty nowej anarchistycznej doktryny. "Trzeba zaprzestać wygłaszać rewolucyjne chasła, bo dla ludzi współczesnych są to chasła martwe, ale zaproponować ludziom tworzenie alternatywnej rzeczywistości, alternatywnych struktur społecznych". Niewątpliwie: w erze internetu i multipleksów, komputerowych gier i chatów - "alternatywna rzeczywistość" może się wydawać czymś

pożądanym, żywym i znajomym; czego nie da się powiedzieć o XIX-wiecznych mitach: rewolucyjnych hasłach i ortografii.

Dyskusja obracała się wokół konkretnych zagadnień: legalizować manifestację, czy też nie; stawić niepokorne, anarchistyczne czoło siłom porządku, czy raczej unikać równie bezzasadnych gestów, zdolnych jedynie "nakręcać agresję zomowców" (sic!). Zwolennicy radykalnych działań w granicach prawa stopniowo zdobywali przewagę. Wytoczyli najcięższe armaty w obronie legalizmu. Spośród męźnych artylerzystów leszczyzmu na uwagę zasługuje niejaki Jackowski, który ujął się za mieszkańcami stolicy, uderzając w ton istic apokaliptyczny: brak legalizacji, klarował, byłby policzkiem wymierzonym w zwolenników zarówno publicznych, jak i prywatnych środków transportu; jeśli nikt nie pokieruje ruchem, ogół zmotoryzowanego społeczeństwa będzie narażony na przykre zetknięcie z "oszukanymi przez władzę i kapitalistów" masami. Świat utknie w gigantycznym korku i trzecia część samochodów dozna zniszczenia. Wagę argumentu wysuniętego przez Jackowskiego pomniejszało jednak to, że sam Jackowski nie należał do ścisłego Komitetu organizacyjnego "M-1". Zajmijmy się zatem innymi argumentami, argumentami właściwymi: tymi, które przytoczył sam Komitet. Organizatorzy poinformowali wszystkich zainteresowanych, że na 1 maja przewidują mnóstwo wspaniałych i wielce artystycznych atrakcji. Starcia z policją mogłyby tylko zepsuć doskonałość programu, w którym wszystko zostało szczegółowo przewidziane, a każdy happening miałby ściśle określony czas, precyzyjnie wyznaczone miejsce i starannie wyreżyserowany przebieg. Ponadto, organizatorzy wypożyczają na akcję drogi sprzęt muzyczny, będą go musieli strzec jak żrenicy oka, działania zaczepne nie wchodzi zatem w rachubę. Na użytek ewentualnych malkontentów, których równie znakomite wyjaśnienia nie zdołały przekonać, przywołano inny jeszcze argument. Dlaczego zalegalizowanie manifestacji jest niezbędne? - "Ponieważ chcemy włączyć do naszej akcji nie tylko punków i anarchistów lecz także inne niezadowolone grupy, a oni (sic) rozmawiają z nami nt. legalnego protestu". Tak więc jednym z naczelných motywów legalizacji miało być stanowcze stanowisko nie-anarchistycznych i nie-subkulturowych środowisk... Oczywiście informacja o równie nieprzejednanej postawie - przyjmowanej przez środowiska niezadowolone, które nie wzniosły się jeszcze na wyżyny anarchistycznej organizacji i świadomości - wzbudziła zainteresowanie tych anarchistów, którzy nie mieli zaszczytu należeć do "komitetu organizacyjnego - Fikcja". Próbowali się dowiedzieć, z jakimi to grupami trwają tak zaawansowane pertraktacje. Początkowo członkowie komitetu usiłovali zbagatelizować tę niestosowną dociekliwość, stosując w tym celu sprawdzoną biurokratyczną metodę: nie odpowiadając na pytania. Później zaś, gdy metoda ta okazała się zawodna, przeszli do kontrataku: "Najlepiej jakbyście sami założyli własne sekcje kontaktowe i udzielili własnej odpowiedzi na to pytanie"; "Kto się spodziewa że już teraz będziemy mieli deklaracje uczestnictwa od jakiś związków zawodowych? Zobaczymy jak będzie, pracujemy nad tym. Niech każdy się zajmie swoją działką<sup>3</sup>. Jak coś będzie wiadomo na pewno to się

---

<sup>3</sup> W tym gnomicznym zaleceniu można się dopatrzeć trawestacji znanego powiedzenia Kandyda o konieczności uprawiania swojego ogródka; trawestacji wyjątkowo zresztą dowcipnej i wieloznacznej, jeśli pomnimy, że jej autor, wspomniany już Żaczek, zabłysnął, również na łamach "akcji", niezwykle szlachetną

o tym dowiecie”. Te wypowiedzi wystarczyły, by najbardziej nieprzejednani sceptycy na brali wody w usta. Niezadowolone grupy, z którymi nikt się nie kontaktował, rozmawiały z organizatorami ”M-1” na temat legalnego protestu... Tego rodzaju informacja mogłaby się wydać osobiwa, ba! - podejrzana, przeciętnie rozgarniętemu homo sapiens. Anarchiści przyjęli ją jednak za dobrą monetę, nic bowiem nie zdoła zaskoczyć tych ludzi, którzy żyją od tak dawna w odwróconym świecie myślenia życzeniowego, dając się okłamywać ponieważ chcą być okłamywani.

Uczestnicy akcji śledzili z zapartym tchem rozwój antagonizmów społecznych na świecie. Polscy anarchiści są bowiem ”wybornie poinformowani o zamiarach sułtana tureckiego, o rewolucjach w Niderlandach, o sytuacji we Włoszech i ostatnich odkryciach dokonanych w Indiach”. Nic więc dziwnego, że na listę nadeszła wiadomość następującej treści: ”INCHON, Południowa Korea, 22 lutego. Około 500 demonstrantów protestujących przeciwko zwolnieniom z południowoamerykańskiej fabryki daewoo motor obrzuciło bombami zapalającymi specjalne oddziały koreańskiej riot police. Świadkowie mówią, że związkowcy z koreańskiej konfederacji związków zawodowych, wspierani przez studentów, metalowymi rurami zaatakowali 2000 oddział policji. Raport dotyczący liczby rannych nie jest jeszcze dostępny. Do zamieszek doszło na uniwersytecie w Inchon ok. 30 km (19 miles) od Seoulu. W ciągu ostatniego tygodnia setki pracowników z daewoo motor i ich rodziny wzięły udział w otwartych protestach przeciwko zwolnieniu 1,750 robotników z koncernu samochodowego. W czasie śródownych (wczorajszych) protestów na ulicach rannych zostało 10 demonstrantów. Protestujący podpaliли koktajlami mołotowa dwa puste policyjne busy”.

Czy koreańscy robotnicy i studenci legalizowali swoje manifestacje? Nic o tym nie wiadomo. Prawdopodobnie w Południowej Korei nie ma Federacji Anarchistycznej. W przeciwnym razie, jej członkowie wytłumaczyliby tamtejszym ”napierdalatorom”, że należy się wystrzegać nakręcania agresji policjantów, rewolucyjna przemoc zaś jest dobra, tzn. spektakularna, tylko wtedy, gdy patrzy się na nią z daleka.

Zapładniającą wymianę poglądów przerwała gorąca dyskusja na temat ustroju panującego na Kubie. Niektórzy anarchiści wyrazili pogląd, że wyspa szczególnie pojmowanej wolności ”nie jest taka zła, jak ją malują”, inni zaś, bardziej przywiązani do doktrynalnej czystości, z oburzeniem jęli przypominać, że na Kubie ”nie ma teraz wolności słowa, ani zgromadzeń i zrzeszania się. Nie ma szans na wolną prasę, radio itd.”. Na szczęście wszyscy zgodzili się, że Kuba jest w chwili obecnej państwem, na ”M1” postanowiono jej zatem nie zapraszać.

List od przedstawiciela jednej z mgławicowych trockistowskich partyjek - Nurtu Lewicy Rewolucyjnej - zmusił organizatorów ”M-1” do bliższego określenia warunków, jakie muszą spełniać osoby i ugrupowania pragnące uczestniczyć w ”powszechnej zmwie przeciw rządowi”. Zgodzono się, że trockiści w zmwie tej nie mogą brać udziału. Anarchiści wytykali wielbicielom Lwa Bronsteina zajęcie niewłaściwej postawy w 21 roku (Kronsztad,

---

postawą, zaznaczając, iż jest zwolennikiem reprzywatyzacji ”nie tylko dlatego, że może zostać spadkobiercą działki w centrum Warszawy”.



Machno); szybko okazało się jednak, że kością niezgody były nie tyle historyczne zaszłości, ile manifestowana przez wielu anarchistów niechęć do wszelkich ugrupowań określających się jako "lewicowe". Zgodnie z anarchistyczną logiką grupy lewicowe są albo propaństwowe (jak PPS czy Unia Pracy), albo totalitarne, przy czym znaczenie tego drugiego określenia nie jest do końca jasne (czyżby chodziło o knowania IV Międzynarodówki mające na celu, jak wiadomo, obalenie polskiej konstytucji i wprowadzenie kartek na mięso?). Nie ma to zresztą większego znaczenia, gdyż góra lodowa, o którą rozbiła się współpraca między anarchistami a "lewakami" nie była górą doktrynalną. Chodziło o zwykłą sprzeczność interesów, konkurencję na rynku niezadowolenia. "Problemem - jak pisał jeden z anarchistów - jest to, że możemy zostać zdominowani przez jakąś opcję, np. 100 czerwonych flag bądź hasła antysemickie". Widmo "stu czerwonych flag", które miałyby - o zgrozo! - zdominować pochody pierwszomajowe, zaczęło krążyć nad kampanią "M-1", przyprowadzając jej organizatorów o zimne dreszcze. Nie znaczy to jednak, by anarchiści zamierzali się dać prowadzić na bolszewicką rzeź niczym stado potulnych baranów... Postanowili w okrutny sposób pomścić dzielnych marynarzy z Kronsztadu i bohaterskich ukraińskich powstańców, a jednocześnie przeciwstawić się grożącej Polsce bolszewizacji, nie dopuszczając trockistów do udziału w "M-1". Chytre komuchy mogłyby - a obawę tę wyraziło wielu anarchistów - zbić kapitał polityczny uczestnicząc w "M-1". Nie w ciemni bici wolnościowcy zamierzali jednak pozostać jedynymi beneficjentami heroicznego zrywu niezadowolonych. Ortodoksyjni anarchiści rzucili hasło "ani jednego czerwonego na "M-1", podczas gdy stronnicy Realpolitik proponowali dopuścić do udziału w manifestacji poszczególne czerwone indywidua, pod warunkiem, że będą one kroczyć na samym tyle pochodu, broń boże nie wymachując jakąś niestosowną flagą (w ostateczności mogłyby sobie nawet machać, byle nie dostrzegły tego czujne oczy fotoreporterów). Znalazł się też nieroztropny dowcipniś, który napisał: "Zaczynam mieć wrażenie, że niektórzy nawet Bakunina i Kropotkina nie wpuściliby na M1, bo "za bardzo czerwoni"". Został szybko skarcony. Niestosowne żarty!

Trudno ganić anarchistów za niechęć żywioną do trockistowskich pogrobowców. Wydaje się jednak znamienne, że anarchiści, szeroko komentując "lewackie podchody", nie zadali sobie pytania, dlaczego owi szkaradnie totalitarni bolszewicy chcą uczestniczyć w "M-1". Odpowiedź byłaby bowiem bolesna: jeśli abstrahować od mętnych różnic doktrynalnych, jeśli odmienności między anarchistami a trockistami poszukiwać nie w mglistych zaświatach społeczeństwa "porewolucyjnego", ale w kształcie organizacyjnym oraz zdolności mierzenia się ze współczesnymi problemami, zdolności rozwijania nowoczesnej krytyki społecznej i podejmowania stosownej praxis - wówczas okazałoby się, w jak nikłym stopniu potomkowie Bakunina różnią się od dzieci Lenina.

Problem czerwonego spisku zmusił anarchistów do wzmożonej refleksji taktycznej. Warto przytoczyć doskonale pomysły zaproponowane przez poznańskich wolnościowców: pierwszy polegał na tym, żeby urządzić manifestację w tym samym czasie, co "czerwoni"; poznaniacy, słusznie rozumując, że żaden przedmiot nie może się znajdować w dwóch miejscach jednocześnie, uznali, że prawo to dotyczy również lewaków. Chytry poznański plan utrudniłby tedy wielbicielom Trockiego uczestnictwo w "M-1". Kolejny pomysł był jeszcze wspanialszy i świadczył o nielada strategicznych talentach: należy zaprosić do

uczestniczenia w "M-1" organizację, z którą czerwoni w żadnym razie nie chcieliby współpracować. Niestety pomysł ten nie został rozwinięty, trudno zatem powiedzieć na kogo padłby wybór: czarną sotnię, Święte Oficjum, czy może antropofagów z Borneo. Dalsze pomysły były mniej malownicze: zorganizować antybolszewickie służby porządkowe, lub przeprowadzić całą akcję pod antyleninowskimi hasłami.

Pojawił się także inny, niemniej śmiały projekt: porzucić "skompromitowaną tradycję" pierwszomajową i zapoczątkować nową - świętować dzień później, drugiego maja. Można przypuszczać (a entuzjastyczny odzew z jakim owa propozycja się spotkała wystarczy, by przypuszczenie to uznać za pewnik), że pomysł ten nie padł w głuche uszy; w 2002 roku "zmowa powszechna przeciw rządowi" będzie zatem musiała czekać o jeden dzień dłużej na swoją manifestację. Pomysł ów zmierza w każdym razie we właściwym kierunku, jeśli uwzględnić antylewicową fobię, która ogarnęła wielu prominentnych działaczy anarchistycznych. Niewykluczone, iż w nieodległej przyszłości polscy anarchiści będą obchodzić swoje święto trzeciego maja.

Jak pisze Leopardi: "Piękne i miłe jest owo złudzenie, które sprawia, że dni przypadające w rocznice jakichś wydarzeń, choć w rzeczy samej nie mają z tamtymi wydarzeniami więcej wspólnego niż każdy inny dzień, jednak na pozór mają z nimi więź szczególną, i że dzięki takim dniom bez mała jakiś nikły cień przeszłości pojawia się ponownie, co roku powracając i stając nam przed oczyma: uśmierza to po części smutne myśli o rozpraszeniu się wszystkiego, co istniało, i ujmuje bólu po wszystkim, co zostało utracone, gdyż owe rocznice sprawiają, że dzięki ożywczym złudzeniom wydaje się, iż to, co przeminęło i nie powraca, nie zostało jednak unicestwione i w pełni utracone". W gruncie rzeczy, fetyszym dat nie jest bardziej żałosny niż propozycja jego pozornego przezwyciężenia. Oszukane przez władzę i kapitalistów masy niewiele obchodzi, czy anarchiści będą świętować swoją rocznicę pierwszego, drugiego czy trzeciego maja, września czy grudnia, przemierzając ulice Warszawy, Krakowa czy Kutna pieszo, konno lub powozem. Trudno im się dziwić.

Wspomniane antylewicowe fobie znajdowały wyraz w licznych pouczeniach, przywoływaniu do porządku, nawet inwektywach. Nie tylko okazało się, że anarchizm nie jest ruchem czysto lewicowym, ale także, że jest on nie do pogodzenia z jakąkolwiek lewicowością (egeria warszawskiego ruchu anarchistycznego - Natalia Krajewska - wyraziła to z żołnierską prostotą: jeśli ktoś jest anarchistą i lewicowcem to znaczy, że cierpi na rozdwojenie jaźni; powinien tedy powstrzymać się przed zawracaniem innym głowy swoimi klinicznymi przypadłościami). W propozycji listu otwartego do związków zawodowych i "innych grup" anarchiści przyznali, że "nie posiadają określonej opcji politycznej" (rzeczywiście: posiadają opcję wyjątkowo nieokreśloną; dziw bierze, iż się do tego przyznają) oraz, że są "otwarciami na współpracę z grupami zarówno lewicowymi, jak i prawicowymi". Jak już mieliśmy się okazję przekonać, organizatorzy niechętnie, delikatnie rzecz ujmując, widzieli współpracę z grupami "lewicowymi" (lękając się by "sto czerwonych flag" nie załopotowało na pierwszomajowym wietrze), co stawia tę wypowiedź w dość mętnym świetle.

Organizatorzy "M-1" byli wystawieni na prześladowania ze strony wszystkich sił represji starego, przed-pierwszomajowego, świata. UOP inwigilował aktywistów i przechwytywał ich korespondencję; bolszewicy próbowali podstępem wkraść się w ich łaski, jednej

działaczce skradziono nawet komputer; last but not least wśród anarchistów pojawili się renegaci i zdrajcy. I w akwariach bywają burze, jak pisał Wiktor Hugo.

Od rozpoczęcia przygotowań do "M-1" minęły cztery miesiące bez mała, a członkowie "grupy kontaktowej" nie zdążyli się z nikim skontaktować, chyba że z innymi członkami tego bajecznego grona. Tempo przygotowań do "M-1" potwierdziło słuszność komunału wygłoszonego przez Clausewita: "Człowiek powolny jednak działa pomału nie dlatego, że chce zużyć więcej czasu, ale ponieważ z natury swojej potrzebuje go więcej". Trawestując z kolei dawne porzekadło powiedziec można, że gdyby śmierć dobierała sobie posłańców spośród członków grupy kontaktowej "M-1" - zapewniłoby to ludzkości nieśmiertelność. Oczywiście nikt się tym nie przejmował. Od początku było bowiem jasne, że oficjalne uzasadnienie kampanii "M-1" - próba nawiązania kontaktu ze "środowiskami niezadowolonych" - nie było niczym innym jak tylko pretekstem. Celem "M-1" było wyrobienie w środowisku anarchistycznym przeświadczenia o tym, że FA jest poważną organizacją zdolną podejmować poważne wyzwania i uczestniczącą realnie w ruchu społecznego niezadowolenia. Po drugie zaś, hałas wokół "M-1" miał uzasadnić organizowanie ogólnopolskiej manifestacji anarchistycznej w Warszawie. Warszawscy anarchiści marzyli o tym, ponieważ samodzielnie żadnej manifestacji nie potrafiliby zorganizować. Działacze z innych miast również tego chcieli, z identycznych względów. Ogłoszenie bez ogródek na czym polega koncepcja "M-1" nie wchodziło jednak w rachubę, oznaczałoby to bowiem przyznanie się poszczególnych ośrodków do własnej słabości, co więcej mogłoby zostać odebrane jako kapitulacja przed nieuzasadnionymi roszczeniami nielubianej "warszawki". Tak więc jedni oszukiwali ponieważ mieli w tym interes, inni zaś, z tego samego powodu, dawali się oszukiwać. Nikt nie odczuwał potrzeby podejmowania innych działań prócz pozorowanych. Ograniczenie przygotowań "wielkiej manifestacji oszukanych" do działań pozornych było tym łatwiejsze, iż sam projekt "M-1" - nawet w swej wersji deklaratywnej, "oficjalnej" - był od początku mglisty. Sprowadzał się do dwóch banałów: dobrze byłoby nawiązać kontakt z "grupami niezadowolonych"; owe grupy powinny się określać w opozycji do istniejących sił politycznych (przede wszystkim zaś partii obecnych w parlamencie). Co oznacza owa powinność? Gdyby anarchiści rozumieli pod tym pojęciem, iż tylko to niezadowolenie, które nie daje się zaanektować przez władzę i spektakl, może liczyć na jakąkolwiek wywrotową skuteczność, trudno byłoby cokolwiek zarzucić takiemu stanowisku. Dyskusje, które toczyły się na liście "akcja", jak również rychłe zawężenie grup niezadowolonych do "związków zawodowych", wskazują jednak, że chodziło o coś innego: ustalenie z jakimi grupami anarchistom wypada współpracować. Warto się zastanowić dlaczego związki zawodowe cieszyły się - w tym wolnościowym rankingu - taką niezasłużoną popularnością. Nie tyle bowiem "zakaz" współpracy z partiami politycznymi, ile postulat "otwarcia się" na związki zawodowe wydawać się musi kuriozalny. Historia ruchu robotniczego pokazuje, że jedną z podstawowych przeszkód na drodze do całkowitej emancypacji pracowników jest właśnie zintegrowana z systemem kapitalistycznym biurokracja związkowa. Reformistyczne związki zawodowe wielokrotnie okazywały się wrogami radykalnych rewindykacji proletariackich, a co za tym idzie wrogami rewolucyjnego projektu społeczeństwa bezpaństwowego i bezklasowego, który w lepszych czasach nosił miano anarchizmu. Anarchiści często

podważali roszczenia związków zawodowych do reprezentowania pracowników (podobnie jak podważali roszczenia posłów czy ministrów do reprezentowania społeczeństwa). Dzisiejsi anarchiści mają oczywiście prawo do zakwestionowania takiego stanowiska, mogą uznać, że związki zawodowe (nie mówiąc już o posłach albo ministrach...) pełnią obecnie rewolucyjną funkcję. Abstrahując od zasadności takiej tezy, warto zauważyć, że anarchiści powinni jednak wprawdzie dojść do takiego - teoretycznego - wniosku; niestety, oznaczałoby to konieczność poświęcenia tej kwestii minimalnej choćby refleksji. Otóż anarchiści uznali, że załatwili się z nią przez to tylko, że nie chcą o niej nic wiedzieć. Doprowadziło to zresztą do zabawnego *qui pro quo*: Ogólnopolski Związek Zawodowy Pielęgniarek i Położnych, w którym anarchiści pokładali największe nadzieje, oznajmił "niespodziewanie" swoje zaślubiny z PSL-em; heroiczna pielęgniarka stała się, z dnia na dzień, *persona non grata*.

Dlaczego anarchiści z taką ślepą ufnością podchodzili do związków zawodowych (wspomniane "podchodzenie" nie powinno być zresztą rozumiane dosłownie, do żadnego spotkania, jak już stwierdziliśmy, nie doszło)? Odpowiedź jest bardzo prosta, anarchiści nie widzą nic niestosownego w zasadniczej funkcji związków zawodowych, tzn. w reprezentowaniu pracowników. Jest to bowiem również marzenie Federacji Anarchistycznej. Kto, jeśli nie reprezentanci - polityczni, związkowi - może pomóc niezadowolonym w spełnieniu ich postulatów? Prawdziwa, tzn. radykalna odpowiedź na to pytanie brzmi jednoznacznie: sami niezadowoleni. Organizatorzy "M-1" zdają się nieustannie sugerować inną odpowiedź - biurokratyczną i partyjną: to anarchiści winni uświadomić społeczeństwu jakie są jego marzenia i jak może je urzeczywistnić. Przy czym nawiązanie przyjaznych stosunków z anarchistami wydaje się już, w tej optyce, wystarczającym zwieńczeniem owych marzeń: domaganie się czegoś więcej byłoby, ze strony niezadowolonych, nieroztropnym ekstremizmem; w każdym razie anarchiści uważają, że niezadowolonym owo spotkanie powinno w zupełności wystarczyć; sami zaś zadowolają się czystą i krzepiącą ideą takiego spotkania. Stąd też bierze się strach przed "przechwyceniem" wielkiego wolnościowego święta przez bezpośrednich konkurentów anarchistów - lewackie grupki, które w identyczny sposób pojmują swoją powszechnodziejową misję.

Początkowo opór budziło nawet firmowanie planowanej akcji nazwą "M-1". Opór ten był zresztą ze wszech miar uzasadniony. Jeśli działalność FA polega, a wszystko na to wskazuje, na promowaniu samej Federacji Anarchistycznej (czyżby ktoś się jeszcze łudził, że chodzi o radykalizowanie konfliktów społecznych?), niespodziewana zmiana szyldu wydawać się musiała nieuzasadniona, by nie powiedzieć absurdalna. Organizatorzy "M-1" wysunęli jednak argument trudny do obalenia: niezadowolonym słowo "anarchizm" źle się kojarzy, należy więc najpierw zdobyć ich serca a dopiero później - w decydującym momencie, tzn. przed telewizyjnymi kamerami - odsłonić przyłbicę.

Cel (cel deklaracyjny, cel "w sensie pickwickowskim") pierwszomajowej akcji był więc ściśle określony, a zarazem typowo spektakularny: grupki niezadowolonych winny przemaszerować ulicami miast pod anarchistycznymi sztandarami, skandując opracowane przez anarchistów hasła i starając się wypaść fotogenicznie. Można by jeszcze zrozumieć taki projekt (czy raczej: pretekst), gdyby anarchiści mieli do zaproponowania rzeczywiście spójną i prawdziwą krytykę społeczną wyrastającą z analizy dzisiejszej

postaci ruchu znoszącego wszystkie zastane warunki. Niestety, anarchiści mogli się podzielić z niezadowolonymi, w najlepszym razie, kilkoma frazesami oraz krzepiącym biurokratyczne serca obrazem czarno-czerwonej gwiazdy wodzącej tuziemiańskie plemiona. Organizatorzy wielokrotnie podkreślali, że należy tak przedstawić koncepcję "M-1", żeby nikogo nie wystraszyć, nie powiedzieć zbyt wiele. Abstrahując od biurokratyzmu takiego podejścia (uwypuklonego przez swoje pseudo-strategiczne uzasadnienie) można zauważyć, że z punktu widzenia organizatorów kampanii mielibyśmy, z jednej strony, nieświadome siebie niezadowolenie, z drugiej zaś - anarchistycznych działaczy zbrojnych w całą potęgę swojej radykalnej świadomości, którym do pełnego szczęścia brakowałoby jedynie "materialnej siły": gotowego do wykorzystania społecznego niezadowolenia. Organizatorzy "M-1" ani razu nie zająknęli się na temat koniecznego przekształcenia samej FA czy, szerzej, całego środowiska anarchistycznego, bez czego projekt "wychodzenia z getta" wydawać się musiał całkowicie sztuczny, a owo postulowane "spotkanie" - przypadkowe. Anarchiści marzą o tym, by odgrywać rolę "organizatorów" społecznego buntu, by obudzić "niezadowolonych" z marzeń sennych. Tymczasem sami zdają się od dawna pogrążeni w biurokratycznej drzemce.

W złotym okresie anarchizmu nie brakowało zrzeszeń, sprzysiężeń i federacji skupiających stronników obalenia państwa. Niektóre z nich były biurokratyczne (co przejawiało się w powielaniu, wewnątrz poszczególnych organizacji, teoretycznie znienawidzonej hierarchii, podziale na "decydentów" i "wykonawców" itp.) inne zaś - quasi-biurokratyczne (poprzestawały bowiem na śmiesznym i zwyczajowym żądaniu od swoich rekrutów rękopisami tradycyjnie pojmowanej moralności). Nie znaczy to jednak, że wszystkie organizacje anarchistów, wraz z nieodłącznymi ograniczeniami, które narzucają swoim członkom, stawianymi im wymogami etc., są naznaczone piętnem biurokratyzmu. Biurokracja panuje tam, gdzie wypowiada się wojnę twórczej energii, inteligencji oraz woli walki cechującym nieprzyjaciół istniejącego ładu; rządzi ona tam, gdzie wypowiada się wojnę prawdzie (jak wiadomo, "tylko prawda jest rewolucyjna"). Te formy organizacji, które odpowiadają wymogom wyznaczanym przez warunki historyczne określające toczoną walkę i utrzymują się na tym poziomie nie są biurokratyczne. Czy polska Federacja Anarchistyczna jest organizacją biurokratyczną?

Federacja Anarchistyczna jest niewątpliwie biurokratyczna w tym sensie, że jej uczestnicy dzielą się na doskonale zapowiadających się biurokratów oraz na tych, którzy ich tolerują. Tym niemniej Federacja Anarchistyczna nie jest biurokratyczna o tyle, o ile nie jest w ogóle organizacją sensu stricto. Jest raczej skupiskiem jednostek, które oburza istniejący "system". Nie jest jednak luźnym skupiskiem, lecz takim, które nadaje sobie pozory organizacyjne. Usiłuje być czymś więcej niż dawna "Międzymiastówka Anarchistyczna", czymś więcej niż sieć wymiany między poszczególnymi "ośrodkami" i autonomicznymi jednostkami. Federacja zawiązała się ponieważ wiele osób odczuwało potrzebę koordynacji działań anarchistycznych w skali całego kraju. To, że poszczególne ośrodki znacznie się od siebie różniły, że w polskim ruchu anarchistycznym istniały rozmaite, mniej lub bardziej sprecyzowane kierunki, nadało Federacji Anarchistycznej szczególny kształt: musiała ona odzwierciedlać tę różnorodność, a z drugiej strony powinna była stać ponad nią (spełni-

ła, co prawda ów wymóg, ale źle go interpretując). W założeniu Federacja Anarchistyczna miała czerpać bogactwo i siłę ze wspomnianej różnorodności, w praktyce okazało się, że różnorodność znacznie ograniczała zakres jej działań. Deklaracje sygnowane przez FA, "kampanie" przez nią prowadzone, wreszcie próby samookreślenia (kolejne "Platformy") musiały być efektem kompromisów. Federacja Anarchistyczna pozostawała więc, sama w sobie, całkowicie nieokreślona, jej "program" sprowadzał się do kilku mętnych frazesów, komunałów, które wszystkie poszczególne ośrodki mogły zaakceptować i uznać za swoje<sup>4</sup>. Wraz z powstaniem FA zaczęły się zacierać różnice między poszczególnymi ośrodkami, dominującą praktyką stało się tłumienie wszelkich potencjalnych konfliktów (które niechybnie osłabiałaby możliwość działania FA), czemu towarzyszyły narodziny nowej ideologii: niechęci do "idejek", które, z punktu widzenia FA, musiały się wydawać niebezpieczne (stanowiąc "siłę dzielenia, a nie łączenia").

Po pewnym czasie okazało się, że anarchiści w całym kraju coraz bardziej utożsamiali się właśnie z Federacją Anarchistyczną i lansowaną przez nią beztreściową ideologią - oszczędzającą trud myślenia i autonomicznego działania. Tęczowa różnorodność - rzekomo broń przez FA - przerodziła się w powszechną amorficzność jednej anarchistycznej, niezróżnicowanej czerni; pozostała cenioną wartością, ale stała się uboga pod względem zarówno treści, jak i formy. W praktyce oznaczało to zawężenie możliwych działań do akcji defensywnych (w obronie aresztowanych działaczy), protestów przeciw powszechnemu obowiązkowi służby wojskowej, wyborom i podatkom (z którymi to protestami również prokapitalistycznie nastawieni "anarchiści" mogli się utożsamiać)... Tak skodyfikowany ruch anarchistyczny stał się ruchem martwym: bezruchem. Utracił tę atrakcyjność, która dawniej wyrastała z jego spontaniczności, skandaliczności, radykalizmu, pomysłowości, itp..

Anarchiści, pogodziwszy się z tą stratą, postanowili dążyć do uzyskania innego rodzaju atrakcyjności, atrakcyjności medialnej. Kampania "M-1" pokazała, że Federacja Anarchistyczna jest na dobrej drodze do tego, żeby zasilić szeregi strażników społecznego snu. Uczyniła już pierwszy krok przyjmując spektakularną taktykę, uznając, że jedynym sposobem wykorzystania mediów jest wyrobienie sobie medialnego, tzn. akceptowalnego oblicza. Polscy anarchiści, gdyby tylko mogli, w celu pozyskania sympatii społeczeństwa, lub choćby tej jego części, która skupia w swoich rękach środki masowej komunikacji, zastosowaliby się prawdopodobnie do zalecenia sformułowanego przez pewnego starożytnego filozofa i staliby się ciasteczkami lub słodkim winem. Usilnie nad tym pracują...

Tymczasem ruch, którego projekt jest skandaliczny z punktu widzenia wszystkich dominujących ideologii, musi nieustannie dowodzić swojej skandaliczności, nie zaś rezygnować z niej, by upodobnić się do tego wszystkiego, co z założenia odrzuca. Zdarzało się wielokrotnie, że systemowi udawało się integrować te siły, które usiłowały go zwalczać. Taktyka przyjęta przez polskich anarchistów wskazuje jednak, że oto, po raz pierwszy w historii,

---

<sup>4</sup> Lektura wspomnianych platform dostarcza mocnych wrażeń intelektualnych. W jednej z nich natknąć się nawet można na takie anarchistyczne credo: "Każda istota żywa a nawet każdy kamień czy źródło ma w życiu.

najśmielszym marzeniem radykałów jest integracja z systemem, zdobycie spektakularnego uznania: przekształcenie się w oficjalnych reprezentantów niezadowolenia.

Rewolucjoniści wiedzą, że żyjemy w świecie spektaklu. Anarchiści ukorzyli się przed tym faktem. Z tego, iż spektakl jest odpowiedzialny za panującą pasywność (izolując ludzi, oddzielając ich od warunków pozwalających na zrozumienie własnych przeżyć, zakazując autentycznej komunikacji) wyciągają błędny wniosek, że należy ograniczyć rewolucyjne zapędy do symulowania rewolucji w świecie spektaklu. Rewolucja będzie transmitowana w telewizji, albo nie będzie jej wcale - oto nieujawnione hasło przyświecające przygotowaniom do "M-1".

Czekając zaś na tę wyreżyserowaną rewolucję przygotowują jej krótkie spoty reklamowe. Ich bunt stał się tak ubogi, że - podobnie jak człowiek wędrujący po piaszczystej pustyni marzy o kropli zwyczajnej wody - anarchiści wydają się teraz, szukając pokrzepienia, tęsknić tylko do jakiegoś wątlęgo przedstawienia "buntu w ogóle". To, że tak niewiele im obecnie potrzeba, może być miarą tego, jak wiele utracili.

Federacjoniści, którym wydawało się dotychczas, że stoją ponad wszelką radykalną krytyką (swój "anarchizm" traktują bowiem jak potężny talizman chroniący przed wszelkimi, choćby najbardziej uzasadnionymi zarzutami) prawdopodobnie przemilczą te uwagi, w najlepszym razie odpowiedzą na nie wytrenowanym wzruszeniem ramion lub też wydają z wolnościowych piersi kilka wątlęch głosów oburzenia: "zamiast gadać, zacznij działać". Można się zgodzić z La Rochefoucauldem: "Wywieść z błędu człowieka przeświadczono o swej wartości, znaczy oddać mu przysługę równie lichą, jak ta, którą oddano owemu wariatowi w Atenach, który myślał, że wszystkie okręty wpływające do portu należą do niego". Członkowie Federacji Anarchistycznej nie dadzą się zresztą tak łatwo wyprowadzić z błędu. Trudno im będzie zrozumieć, iż nie są depozytariuszami społecznego niezadowolenia, a jeszcze trudniej, że cechujący ich w coraz większym stopniu biurokratyzm nie pozwala im nawet na samo uczestnictwo w tym niezadowoleniu. Prawdopodobnie pojmą swój błąd dopiero wtedy, gdy ruch społecznego niezadowolenia, po omacku próbujący uświadomić sobie czym jest i czym może być, obróci się przeciw nim.

Na zakończenie dodać muszę, że choćby ów tekst nikogo nie przekonał, nie zgodzę się z tymi, którzy nazwą mój wysiłek próżnym. Żaden z czytelników nie będzie już mógł dłużej utrzymywać, że "o niczym nie wiedział"... Mój wysiłek zadowoli się tą nagrodą.

Anarcho-Biblioteka  
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Mateusz Kwaterko  
Cztery miesiące, które wstrząsnęły światkiem...  
Uwagi na temat "Kampanii M-1" i polskiego środowiska anarchistycznego  
Kwiecień 2001

**[pl.anarchistlibraries.net](http://pl.anarchistlibraries.net)**